

Erwin Kruk, senator pierwszej kadencji

Panie senatorze, co Pan robił przed wyborami w 1989 roku, przed wejściem do Senatu?

No, robiłem różne rzeczy, bo już żyłem parę lat.

Chodzi mi o rodzinę, wykształcenie, pracę zawodową, działalność społeczną.

No, to wszystko zaczęło się w roku 1980, przed tymi szesnastoma miesiącami „Solidarności”. Jeszcze zanim powstała „Solidarność”, w marcu 1980 roku, zwolniłem się z pracy w gazecie, pracowałem kilkanaście lat w lokalnym dzienniku. Moja żona pracowała w wydawnictwie książkowym Pojezierze. No i jako człowiek niepokorny swoje książki drukowałem w Warszawie, między innymi w Państwowym Instytucie Wydawniczym, Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. I w pismach uznawano, że nie przestrzegam założeń, które są w samym Olsztynie, że hierarcha ustala wartości, a nie, że prawda rodzi się w sporze o wartość.

A żonę poznałem już podczas studiów. Ona pochodzi z Białowieży. Razem studiowaliśmy polonistykę na tym samym roku i po ślubie w 1966 roku przyjechaliśmy do Olsztyna. Ja urodziłem się niedaleko od Olsztyna, bo w okolicach Nidzicy. W innym państwie, bo w 1941 roku. W 1945 roku nie miałem rodziców ani domu. U krewnych mieszkałem. No i to wszystko się składa na to, że mnie interesowała ta ziemia mazurska, społeczność, jaka była wcześniej. I gdy później był stan wojenny, nie miałem żadnej pracy, to zamiast gazet czytałem dla odpoczynku gazety z XIX wieku. Poznawałem wszystko, co napisano o Mazurach w tamtych czasach, wcześniej. Po latach to się przydało, bo na początku XXI wieku wydałem książkę „Warmia i mazury” w serii „A to Polska właśnie” w Wydawnictwie Dolnośląskim, we Wrocławiu. Ta książka była nagrodzona w siedzibie Polskiej Akademii Nauk.

Miałem powiedzieć, że już jestem od 44 lat żonaty, mamy dwójkę dorosłych dzieci. Syn informatyk w Warszawie, z rodziną, ale młodą rodziną. A córka, jej dwie wnuczki no i zięć to w Wielkiej Brytanii mieszkają od lat. Mam nadzieję, że wrócą. No i dla mnie to ważna była sprawa, że w kraju się będzie dziać dobrze, gdy dzieci będą mogły realizować swoje cele życiowe po studiach, po szkołach, w tym regionie, z którym są życiowo związani. No, tak jeszcze nie jest i pewnie długo nie będzie, bo można wędrować, można pracować i zarabiać, ale nie jest się uwiązany, nie jest się przywiązany serdecznie. To znaczy nie jest się z własnej woli przywiązany, tylko trzeba wyjeżdżać, żeby poprawić swoje warunki bytowe.

W stanie wojennym współpracowałem z Ruchem Kultury Niezależnej. Na zaproszenie z Wrocławia uczestniczyłem w Tygodniu Kultury Chrześcijańskiej. Także na Kaszubach, u dominikanów w Gdańsku. Jakieś wsparcie miałem z Zaiksu, bo tam był fundusz popierania twórczości. Potem od 1988 roku byłem w Penklubie. Nie należałem do żadnej organizacji, do tego neo-ZLP, tylko w 1989 roku, 15-16 stycznia niezrzeszeni zebrali się w Warszawie i ja byłem jednym z tych, którzy znaleźli się komitecie organizacyjnym Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

No, ale wcześniej w Olsztynie. Olsztyn to taki dość dziwny region. Bardziej olsztyński wówczas, bo się w czasach gierkowskich nie mówiło już Warmia i Mazury, tylko ziemia kętrzyńska, ziemia olsztyńska. Ja byłem przeciwko temu, bo w 1981 roku, w czerwcu w Krotowie był zjazd regionalny „Solidarności” i wtedy chodziło o to, by nazwać region. Jeden z kolegów, który później był posłem, proponował żeby to było pojezierze. No, ale pojezierze to już mają ci z Suwałk, tu ziemia olsztyńska. Ja zgłaszałem, żeby tu był zarząd regionu warmińsko-mazurski i to zostało. Potem się przyjęło, bo i województwo warmińsko-mazurskie powstało, to już w innym czasie, ale gdyby nie było tego pierwszego, to by i następnych nie było. Później Uniwersytet Warmińsko-Mazurski powstał. Ale jeszcze wracając do tego 1980 roku. Moje pierwsze pisanie i drukowanie było w 9. klasie w liceum w Mrągu. Wszystko, co decydowało o tym, że trafiłem do Senatu, że uznałem, że to jest

wydarzenie jednorazowe, że nie jestem politykiem, tylko że akurat czas wymagał ludzi zdecydowanych i pracujących. Ja byłem współorganizatorem Olsztyńskiego Klubu Obywatelskiego w 1988 roku. Był czas, gdy nie chciano zarejestrować tego klubu, on bardzo aktywnie działał w różnych zakątkach. Potem, gdy była już mowa o tym, że będą wybory, gdy już dano zezwolenie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a potem z Olsztyna, to wtedy nagle ludzie ujawnili swoje odmienne punkty widzenia. I ja w ogóle nie chciałem kandydować. Ale tak się złożyło, że w Warszawie na posiedzeniu komitetu obywatelskiego była grupa z Olsztyna, usłyszeli od ludzi w tym Komitecie siedzących, że może Kruk by pasował do Senatu. No i namawiali mnie długo koledzy z Olsztyna, z tego klubu. Mówią: „Jeśli nie będziesz kandydował, to mogą przysłać z Warszawy spadochroniarzy”. No i takie mowy były.

Muszę znowu się cofnąć. Przed stanem wojennym jako jedyny z województwa byłem zaproszony przez Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych na Kongres Kultury do Warszawy. Najpierw był nasz protest, bo około 250 uczestników Kongresu podpisało się przeciwko internowaniu, przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Byłem przeziębiony, bo taka marna pogoda była. Były plakaty, że Irena Falska mówi gorzką prawdę, a Zbyszek Bujak słodkie kłamstwa. Były rozwieszane wszędzie, bo był Kongres Kultury był w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, a obok w hotelach jakiś związek mleczarski miał zjazd. Wróciłem w niedzielę i to już po godzinie milicyjnej. W poniedziałek był strajk obok. Wtedy to były Olsztyńskie Zakłady Opon Samochodowych, teraz zakłady Michelin, i był strajk w poniedziałek. Nasz syn, dziesięcioletek, mówi, że pójdzie na sanki. A potem okazało się, że przyspawano bramę i mój znajomy z „Solidarności”, inżynier Zbyszek Przewłocki, teraz jest w Kanadzie z rodziną, mówi, że właśnie ten mały chłopak był. Nawet powiedział, że to jest historyczne zdarzenie, bo ten mały chłopak będzie opowiadał, jak ZOMO rozbijało tutaj zakład. No i syn pamiętał, bo dłuższe ferie zimowe mieli. A po feriach do nauczycielki w szkole zaniósł biuletyn rezonansu z 12-stego, bo żona pracowała w tym biuletynie związkowym, była w redakcji. No i syn już, jako maturzysta mówi: „Tato, wiesz, że ty może się nadajesz na to, żeby być”. Wtedy zbliżały się wybory do Senatu. W Olsztynie w ubiegłym roku, w czerwcu, była nadzwyczajna sesja rady miasta i ja tam wygłosiłem kilka słów wspomnień o tym, czym są wybory. Mówiono o transformacji ustrojowej, ale bano się powiedzieć, że to początek upadku komunizmu. Historycy badający ten okres stwierdzili, że w różnych materiałach archiwalnych SB jest między innymi ten początek kampanii wyborczej w Olsztynie i przemarsz z siedziby „Solidarności” na rynek starego miasta. I według tych dokumentów, bo to oni zabezpieczali, najbardziej niepokojące i wrogie było wystąpienie Erwina Kruka, który sugerował, że w Polsce nic się nie polepszy, jeżeli nie będzie zmiany ustroju. To szło dalej, bo nikt nie mówił o większości, nie mówiono o zmianie ustroju, tylko że będziemy władzy patrzeć na ręce, tak się przyjęło. Ja mówiłem o tym 4 czerwca, że niby nic się nie stało, tylko stało się jedno i to nie zostało wykorzystane, że społeczeństwo odrzuciło ten model ustroju, jaki był poprzez głosowanie. Co prawda, władze „Solidarności” i Komitetu Obywatelskiego trochę się przestraszyły tego, bo od razu się mówiło o tym, że z listy krajowej tylko dwie osoby przeszły (Kozakiewicz i Zieliński), ale w drugiej turze byli kandydaci bardziej i mniej popierani. Ja o tym mówię dlatego, że historycy opublikowali informacje o tamtych zdarzeniach. Służba Bezpieczeństwa nas zauważyła, że między innymi ja brałem udział w drugiej turze wyborów. Jeszcze nie napisali, na kogo głosowano, bo to już było po wyborach naszych.

Ja zostałem przewodniczącym Olsztyńskiego Klubu Obywatelskiego, ale później ten Klub od razu po zmianach, po czerwcu, po wyborze Sejmu kontraktowego i Senatu przestał działać, bo ci, którzy zostali, to albo byli związani czy blisko im było do Janusza Zabłockiego, to była grupa Polski Związek Katolicko-Społeczny i jeszcze jakiś ośrodek dokumentacji, albo kontestowali w ogóle ustalenia okrągłego stołu. I można powiedzieć, że

olsztyńscy kandydaci, czterech z pięciu, to członkowie Olsztyńskiego Klubu Obywatelskiego, tego, który zawiązywał się długo, bo nie zezwalano na to, by był zarejestrowany. A później się rozpadł. Ale z tego Klubu do Senatu oprócz mnie byli dr Antoni Jutrzenka Trzebiatowski z Krotowa, biolog. Posłami zostali Józef Lubieniecki, prawnik, Zenon Ślaskowski, dziennikarz „Posłańca Warmińskiego”. Jeszcze była nasza koleżanka, też z Torunia, Grażyna Langowska, nauczycielka. Większość to byli humaniści, tak jak w naszej rodzinie - moja żona, ja i córka to poloniści. Syn informatyk. Tak samo by było, gdyby chodziło o problemy województwa, to można powiedzieć tak: tu był poligon doświadczalny PRL-u i socjalizmu realnego, ale połowa ziemi w województwie olsztyńskim to były PGR-y. I to, o czym chciałem powiedzieć, czym Senat się nie zajął, to nie zajął się w ogóle PGR-ami. Nie było nikogo z PGR-ów w Senacie, a ci, którzy byli w Sejmie, to byli trochę onieśmieleni tym, że zmienia się sytuacja i nikt przed szereg nie wyskakiwał. Bo co dostali byli pracownicy PGR-ów, które likwidowano? Tak zwane kuroniówki, prawda? One się później upowszechniły, z tym że nie należy lekceważyć pracy Kuronia, tylko należy się martwić tym, że na terenach popegieerowskich bezrobocie objęło już kolejne pokolenia, bo jak rodzice nie mają pracy, to i dzieci. Albo później na zapomogę.

To się trochę wiązało z moimi zainteresowaniami, bo w połowie lat 70., 80. mówiono, że dokonana się integracja społeczeństwa Warmii i Mazur, a ja uważałem, że to jest taka integracja przez eliminację. To znaczy nie tylko Mazurzy, których było coraz mniej, czy Warmiacy, ale także ludność tych grup etnicznych i społecznych, które przybyły po wojnie, 56 tys. w ramach akcji „Wisła” w 1947 roku, ludność z Wileńszczyzny, tak zwana ludność zza Buga - ci wszyscy ludzie stracili coś. I to nie była integracja tylko coś, co socjologowie nazywają anomią, czyli rozpadem więzi społecznych. Rozpad tych więzi oznacza, że ci ludzie są jakby ludźmi znikąd, ludźmi z delegacji. I tak próbowano na tym poligonie socjalistycznym w województwie olsztyńskim zadziałać, żeby ludzie nie byli związani z konkretną ziemią, z miejscowością, żeby nie mieli swojej kultury. I to być może się udało, bo wkrótce po wyborach z 4 czerwca 1989 roku, no, rok później była sprawa wyborów prezydenckich już. Ale może zaczniemy jeszcze od tych wyborów prezydenckich w Zgromadzeniu Narodowym.

To może najpierw powiedzmy o tym, jak Pan wspomina tą pierwszą kadencję. Jak Pan wspomina wybór Wojciecha Jaruzelskiego?

Ja doskonale pamiętam, że jak była kampania wyborcza, to wiele było pytań, czy będę głosował za Wojciechem Jaruzelskim jako prezydentem. Ja pamiętam, że mówiłem, że wstrzymam się od głosu. Inni mówili, oczywiście, że nie będą głosować. Potem były różne takie zagrywki, między innymi w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, że był zapasowy kandydat. Pięć godzin trwało posiedzenie, na którym kandydatem na prezydenta był Czesław Kiszczak. Nie wiadomo, po co to w ogóle było, bo wiadomo było, że on nie będzie. Ale Zgromadzenie Narodowe wybierało prezydenta i przeszedł półgłosem. Ja byłem przeciwko, ale widziałem z władz OKP ludzi, którzy krzatali się i bardzo się martwili, że może nie przejść. Między innymi Stomma się pomylił, że Zdzisław Nowicki, senator z Piły, i poseł Polaczek, i niektórzy inni głosowali za tym, żeby Jaruzelski został. Głośniejszy odzew miało to, że po wyborze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta był protest wyborców z Katowic. Trzy tysiące podpisów zebrano, żeby odwołać Wielowieyskiego. To jeszcze nie miało żadnego skutku, bo trzeba przyznać, że podczas tej kadencji Jaruzelski zachowywał się w miarę poprawnie. To znaczy nie przeszkadzał w tych zmianach, jakie były. Tylko że jeżeli się nie mówi, jeżeli się później wlecze po sądach Jaruzelskiego, to dlaczego nie wspomina się o współodpowiedzialności tych, którzy go wybrali na prezydenta? Ja uważam, że skoro wybrali, to powinno się przemilczeć, a skoro wiadomo było wcześniej, jakie były działania Jaruzelskiego, jaka odpowiedzialność przypadała w ramach tych kompetencji, jakie miał, no,

to nie można pominąć tego dnia wyboru na prezydenta i kto przyczynił się do tego. Bo jakaś taka moralna odpowiedzialność też jest. No, ale po wyborach, po tym, jak się kończyła skrócona kadencja Jaruzelskiego, i zaczęła się wojna na górze, no to ta wojna przedstawiana jest trochę nie tak. Ta wojna na górze zaczęła się od spotkania grupy osób w redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Czyli kogo?

Mazowiecki i inni. A potem oczywiście początek wojny, to mówimy: „Panie Turowicz, stłucz pan termometr, to nie będzie temperatury”. To się przyjmuje za początek tej wojny. Ja od początku uważałem, że lepszym kandydatem w wyborach niż Wałęsa jest Mazowiecki. Tu zresztą trochę oburkiwali, ale uznaliby w zarządzie regionu „Solidarności”, że był czas, gdy jeszcze można było mieć różne poglądy, bo senatorowie w tej pierwszej kadencji mieli bardzo różne poglądy. Byli i socjaliści, i ludzie związani z Kościołem bardziej konserwatywni, i tacy prawie endecy. Ja w rozmowach często nawiązywałem do tego, że przecież nie tylko katolicy są, bo mówię, że ewangelicy... Później się okazało, że coraz śmielej o tym mówił też Edward Wende, który był ewangelikiem reformowanym. Ale później miałem też rozmowę z Wojciechem Kozłowskim, który mówi: „Moi przodkowie Strasburgowie to też byli ewangelicy”.

Jak Pan wspomina tę wojnę na górze?

Wojnę na górze? To było tak, że zadzwonił do mnie Wielowieyski i zapytał, czy w Komitecie chcę być. Powiedziałem, że tak, u Mazowieckiego. Potem otrzymałem i chyba tutaj przekazałem takie pismo z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, że skoro tam popierałem, to już nie jestem w OKP-ie. Potem nie należałem do Unii, nie zapisałem się. Unie Demokratyczna to była taka sprawa, że podobało mi się to, że na początku mówiono o społecznej gospodarce rynkowej i bardzo szybko rząd Mazowieckiego się z tego wycofał.

Tutaj poruszamy wprowadzenie planu Balcerowicza.

Tak, tak, ale już w tej książce wspominam, jak to było przed wyborami prezydenckimi, tam, gdzie było trzech kandydatów: Wałęsa, Mazowiecki i Tymiński. I w Olsztynie do znajomego księdza katolickiego mówię: „Pójdziemy na spacer i pokażę, jaka jest propaganda”. Tam, gdzie jest obecnie gmach telekomunikacji, trwały prace i był płot i wszędzie pokazywano tam albo „*jude raus*”, albo jakieś tam NOP, albo Młodzież Wszechpolska. I mało tego, z córką tam byłem i przechodziłem koło kościoła i tam jakiś nie z tamtej parafii ksiądz albo może kleryk powiedział, że tam nie może być stolik, gdzie zbierają podpisy na Mazowieckiego. To znaczy, że już w tamtym czasie takie napięcie było, prawie irracjonalne. Ja nawet nie spodziewałem się, żeby takie coś było. No i potem najwięcej głosów, oczywiście, miał Tymiński. W drugiej turze zaprosili mnie z „Solidarności” do Krotowa i ja zacząłem tak, jak to powinienem zacząć, to znaczy „nie chcę, ale muszę” w drugiej turze. Tymczasem w drugiej turze w województwie olsztyńskim wygrał Stan Tymiński. Drugim takim województwem to jest sąsiadujące ciechanowskie ówczesne, czyli część obecnego warmińsko-mazurskiego. To świadczy o tym, że ludzie spodziewali się jakiś cudów, bo jakiś tam wuj Sam, człowiek znikąd, może tu spełnić każde żądanie. No i ten obraz kampanii wyborczej i tych różnych plakatów, i napisów, i to dzielenie, że Mazowiecki jest niedobry To zresztą w „Tygodniku Powszechnym” ktoś uzasadnił, że Mazowiecki w Płocku to już od któregoś tam wieku. To świadczyło o tym, że ja do takiej gry nie byłem przygotowany i dla mnie ona była niepotrzebna. Traktowałem to jako rodzaj doświadczenia, tak jak początek, wejście w kampanię. Gdy już zdecydowałem, to jednocześnie mówiłem, że to jest jednorazowe moje doświadczenie, które chcę przeżyć, bo to jest moment historyczny. Potem namawiano mnie, żebym w drugiej kadencji też brał udział. Ja powiedziałem, że już nie. Dwa

lata temu tak powiedziałem, to już tak zostanie. No, i zawsze było to jedno, że w tych pierwszych wyborach to było ponad 140 tys. głosów. Co prawda, był taki z PZPR-u publicysta, który mówił, że w tamtym czasie gdyby krowie przyczepić znaczek „Solidarności”, to też by zebrała ileś tam tysięcy głosów. Senat był w jakimś jednym artykule Konstytucji zawiązany, bo to tak pospiesznie i w ostatniej chwili.

Prace w Senacie można podzielić na to, gdy obrady były w sali kolumnowej, i na drugą część, gdy obrady już były w dzisiejszej siedzibie Senatu. W kolumnowej siedziałem obok Antoniego Jutrzenki Trzebiatowskiego z Olsztyna, z drugiej strony Stanisław Stomma. Tam obok Stommy powinni siedzieć bracia Kaczyńscy, ale oni wtedy rzadko bywali. Czasem bywali na tych posiedzeniach, ale rzadko. No i byli tacy, co zabierali głos często, taki był senator Ciesielski, byk jak koszykarz, zawsze podchodził jak do kosza. On najwięcej chyba miał tych wystąpień, bo kilkaset. W polityce liczy się obliczalność. Jeżeli w komisji nie można przekonać ludzi do podjęcia jakiejś uchwały czy projektu uchwały, to uważam, że to już na ogólnym zebraniu, wśród ludzi, którzy mają inne zainteresowania, to już jest jakby niepotrzebne i nieskuteczne. Bo obliczalność polega na tym, że się do tego dochodzi. Uważam, że mimo tej różnicy poglądów wszyscy byli jakby z jednej strony. Inne były doświadczenia. Ja byłem w dwóch komisjach, między innymi w komisji do spraw Polaków za granicą. Tam był przewodniczącym Edmund Osmańczyk, człowiek o różnym doświadczeniu, ale długoletnim. Ja go znałem z wcześniejszych lat ze środowiska literackiego, bo Olsztyn i Opole to były takie kontakty żywe wcześniej. No i tak wcześniej zmarła Najwcześniej zmarł Białkowski, profesor fizyki i poeta z Warszawy, jeszcze przed ślubowaniem, prawda?

Szanowałem wielu ludzi i często rozmawiałem między innymi z Janem Józefem Lipskim, czasem w towarzystwie pana Stanisława Koziola, sekretarza komisji kultury. Zapytałem Lipskiego, dlaczego tak się stara o odtworzenie Polskiej Partii Socjalistycznej, bo on tam z Ciołkoszem miał jakieś kontakty, mówię: „Pewnie pan chce przejąć władzę”. A on mówi „nie”. To ja mówię: „To pan pewnie chce stworzyć klub polityczny, to niech pan mówi”. No i to te rozmowy były dość takie częste oraz na tematy literackie, bo on historyk literatury i teoretyk. Potem zaczął się pojawiać i Konowicz, to już sprawy mieli inne, takie już rozmowy polityczne. Ale w kuluarach to z jednej strony byli koledzy, tacy, z którymi łatwiej można było porozmawiać, taki architekt Bartłomiej Kołodziej z Włocławka, Antoni Tokarczuk czy Andrzej Tomaszewicz, Antoni Jutrzenka Trzebiatowski, jacyś posłowie też, a z drugiej byli ci, którzy w kuluarach palili papierosy, którzy się spotykali często. No, często bywałem w tym towarzystwie, gdzie był Gustaw Holoubek, Andrzej Szczepkowski i tam wielu jeszcze innych palących. Holoubek lubił opowiadać dowcipy, czasem pieprzne, ale ja z chęcią słucham, ale nigdy nie zapamiętuje. Mniej grubych słów, ale za to takich dosadnych to Andrzej Szczepkowski. On później dopiero, to, co praktykował tu w kuluarach, to potem wydał w 1992 roku w tomiku „Słoweczka”, ale musiałbym sięgnąć do tego, żeby stwierdzić, czy tam cokolwiek z tego opowiadał. Jakież tam były jego takie słowa o łączeniu słów szambo i szambelan, ale nie wiem, w jakiej to sytuacji^ Chyba nawet publicznie o tym kiedyś mówił.

Jakie jeszcze osobowości były w Senacie?

No, ja interesuje się historią, no to bardzo ciekawe to Karol Modzelewski, prawnik, Tadeusz Zieliński. Tam było wielu takich, z którymi się nie kontaktowałem, marszałek Stelmachowski to czasem tylko tak oficjalnie. Nawet zostawiłem mu jakieś materiały *pro memoria*. Odpisał, że się tym zajmie, ale potem żadnego nie było oddźwięku. Ekonomista profesor Cezary Józefiak - z nim prowadziłem raczej rozmowy towarzyskie, bo ja się na ekonomii nie znam. Najciekawszą sprawą Senatu, tym, co jest chyba chwalebne do dzisiaj, to była komisja samorządu terytorialnego pod przewodnictwem profesora Jerzego Regulskiego. Opracowała ustawę samorządową. Potem jeszcze w kolejnej kadencji to chyba senator Jerzy Stępień się

tym zajął. Ale to się chyba sprawdziło, bo tam były rozwiązania, żeby samorządność nie była taka całkiem na luzie w tym początkowym okresie. Ale to z inicjatywy Senatu powstało, ta ustawa. I jak się słucha samorządowców, no, to oni tak poważnie mówią, że ta praca Senatu stworzyła podstawy do tworzenia społeczeństwa obywatelskiego, a raczej do myślenia o tym, że jest się współodpowiedzialnym za gminę, miasto i tak dalej ^

Czyli to się udało. Ta z inicjatyw ustawodawczych się udało. A co nie wyszło?

No, to, co w ogóle nie wyszło, to mówię o tym, że upadek PRL-u zostawiono bez jakiegoś słowa. Dyrektorzy dawnych PGR-ów zostali likwidatorami. Potem, skoro już nie produkowano nic, to sprzedawano sprzęt, żeby utrzymać tego dyrektora. Potem jeszcze odprawy półroczne i tak dalej i nie stworzyło się klasy średniej, a stworzyło się takich ludzi, którzy nie są przywykli do samodzielnej pracy, bo tam byli specjaliści w wąskiej dziedzinie. Ktoś był kombajnista, ktoś tam dojarką. Nawet jak warunki mieli lepsze, bo w niektórych takich PGR-ach były te osiedla pracownicze, no, to potem, skoro nie pracowali, to nie mieli za co opłacać prądu, gazu, odcinano też media. Jakiś reportaż był, parę lat temu, „Arizona”, o tych ludziach po upadku PGR-ów. W Klewkach była przetwórnia, jakaś ferma drobiu i ona dobrze sobie radziła i chciała się oderwać od PGR-u, ale potem okazało się, że przetwórnia pasz została gdzie indziej, musieli kupować, a nie mieli już tego. I to tak się rozpadało. Gdyby jakaś forma leasingu była albo gdyby stworzono możliwości dla niektórych pracowników przynajmniej, dla tych, którzy by chcieli, to znaczy znali się, żeby mogli tam uprawiać czy coś hodować, to wtedy może rozmiar tego bezrobocia byłby nie tak dotkliwy, bo całe społeczeństwo za to płaci. Teraz się mówi o tym, że są stypendia dla dzieci z tych byłych PGR-ów, no, ale to późno jest już _

Wspominał Pan ustawę samorządową. Co Pana zdaniem było poza tym największym osiągnięciem Senatu pierwszej kadencji? Które z inicjatyw ustawodawczych wywarły największy wpływ na polską rzeczywistość?

Wiele było takich zmian, które zastanawiały mnie, ale czy na rzeczywistość wywarły wpływ? Było Towarzystwo Polonia, prawda? Ja byłem razem z senatorem Reiffem, wcześniej z senatorem Osmańczykiem w tej komisji Polaków za granicą, ale oczkiem w głowie przekształcenia tego Towarzystwa Polonia to było ta rzecz marszałka Stelmachowskiego. On uznał, że to będzie kongres, najpierw trzeba tak nazwać, Kongres Wspólnoty Polskiej, i oczywiście, wiązał to z Kościołem katolickim. I słusznie, bo często jest tak, że to można wiązać. Tylko ja proponowałem, żeby może uwzględniać też duchownych innych wyznań, no, ale to jakoś nie przeszło. Także jak zapisywali się do tej Wspólnoty Polskiej, no, ja tam się nie zapisałem do tego nowego stowarzyszenia, chociaż wcześniej prowadziłem takie spotkania wspólnej komisji sejmowej i senackiej w Domu Polonii w Pułtuskach. Później eksperci różni byli. Kazimierz Wójcicki, mój znajomy socjolog, dyrektor Instytutu Zachodniego Andrzej Sakson. To było takie spotkanie w Domu Polonii przy Krakowskim Przedmieściu i to jakieś takie było związane. Ja o tym mówię dlatego, że testowałem, czy jestem do strawienia taki w tym sosie, no, takim prawie katolickim. I pod koniec kadencji wystąpiłem z uchwałą, żeby Kościoły zrzeszone w Polskiej Radzie Ekumenicznej miały takie same prawa jak Kościół rzymskokatolicki. No, jeszcze to uzgadniałem z Edwardem Wende i okazało się, że ta uchwała przeszła. Tylko ona nie przeszła, ale to już był koniec tej kadencji. No, to znaczy, że ludzie dopóki się nie znają, nie powiedzą sobie o tym, co ich różni, to tak się wydaje, że to są jacyś wrodzy, a to nie jest tak.

Ja wspominałem mile senatora Waleriana Piotrowskiego. On był bardzo taki nabożny, ale bardzo sympatyczny. Drugi był Leszek Piotrowski, on często się spotykał z senatorem Edwardem Wende, bo prawnicy mieli swoje sprawy. Ja nawet tam podejrzewałem, że

prawnicy tak konstruowali prawo, żeby zawsze była jeszcze możliwość stworzenia jakiś furtek, gdzie będą mogli prawnicy się popisywać.

No i tak jest, że parlament od parlenia (parler-mówić), to jest fabryka słów, fabryka słów. No ja jestem człowiekiem, który od dziewiątej klasy liceum drukował coś już, no to już ponad pół wieku, najpierw mówiłem gwarą w dzieciństwie, potem do miasta, to zawsze w internacie, ale w internacie też ludzie ze wsi i tak to trzeba było pokonywać różne kompleksy. I jako osoba pisząca to jest się skazanym na pewną samotność albo się nawet oczekuje samotności. Dlatego też jak w Google się zobaczy Erwin Kruk, to tam gdzieś na pierwszej stronie jest Erwin Kruk w dokumentach SB, to znaczy, że już od 1969 roku SB patrzyło, jak tam te kwestionariusze ewidencyjne i inne. A potem była próba w 1980 roku. Z ludźmi, z takimi Mazurami po studiach, jeszcze tacy byli, zakładałem Mazurskie Zrzeszenie Kulturalne i tuż przed stanem wojennym wydział spraw społecznych czy administracyjnych, odmówił rejestracji. Dlatego, że jak uznał, stowarzyszenie będzie dzielić zintegrowane społeczeństwo. Taka decyzja zapadła po tym, jak w „Tygodniku Solidarność” taki miałem szkic dość długi, bo te płachty były duże. Tam było właśnie o tych sprawach, które mnie interesowały, ale tam było też to, co propagowałem na zjeździe „Solidarności”, były uchwały podjęte o to, żeby w jakiś sposób ukarać tych, których ukaranie było wcześniej niemożliwe. Między innymi, co się już nie pamięta, wojewodą olsztyńskim w latach 50. był Mieczysław Moczar. On był najpierw przewodniczącym wojewódzkiej rady, a potem wojewodą w tych latach. Tutaj wielu innych jeszcze było, bo Światło też stąd pochodzi, pracował, i Szlachcic Franciszek. Tu zresztą oprócz ośrodka rządowego w Łańsku to jakieś tam, mówiłem oficjalnie, władza się separowała od ludności, to było 80 tys. hektarów w 1980 roku. To były jeszcze ośrodki Ministerstwa Obrony Narodowej, to Jaruzelski, to jest nad Omulewem, Jabłonka czy_ A drugi ośrodek w stronę Ostrudy w lasach Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Kiszczach gdzieś miał.

Wróćmy do prac Senatu. Które z prac Senatu wtedy budziły wielkie emocje, a dzisiaj wydają się mało znaczące?

Wiele emocji wzbudzało i nawet dalej jest to znaczące, uchwała w sprawie akcji „Wisła”. Komisja kultury i edukacji właściwie wytypowała Andrzeja Szczepkowskiego, Jana Józefa Lipskiego i mnie, żeby napisać projekt uchwały w sprawie akcji „Wisła”. Solidarnościowym posłem w tym Sejmie kontraktowym był Włodzimierz Mokry, Ukrainiec urodzony gdzieś koło Bartoszyca, taki porządny człowiek. No i miała być wspólna ta uchwała - i Senat, i Sejm. To ludzie są ciężko doświadczeni, bo tam z Wołynia, ale większość, prawie całość tej uchwały to była moja propozycja, żeby uznać, że to była odpowiedzialność zbiorowa w imieniu Polski. To nie było tak, że to wojenne, tylko powojenne działanie wysiedlić ludzi i przenieść. Tutaj 56 tysięcy gdzieś w koszańskim i gdzie indziej jeszcze. I odpowiedzialność zbiorowa. Sejm tego nie przyjął i to później w kolejnych kadencjach też nie. I w środowiskach ukraińskich mi się zdaje, że czasem no, przypominają, ale z drugiej strony środowiska ukraińskie jakoś się nie odnoszą do spraw Wołynia czy Polesia, że mimo strategicznej czy politycznej potrzeby wiązania Polski i Ukrainy to są jeszcze sprawy nieomówione, które same się nie zbliznią. Trzeba dialogu, trzeba dochodzenia do prawdy. To są takie sprawy, które w polskim parlamencie, ale i w polskim społeczeństwie, ale i w społeczeństwie ukraińskim powinny dalej stanowić moralną potrzebę oczyszczenia.

A z tych spraw, które Senat podejmował, no, trzeba powiedzieć, że w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym Senat był traktowany jako coś, z czym nie trzeba się liczyć, bo to wszyscy prawie senatorzy byli ze strony solidarnościowej, tam nie było żadnych takich nagłych przeskoków, żeby stosować jakieś gry, między ZSL-em a stronnictwem demokratycznym, chociaż tam byli tacy ludzie polotni. Ja nawet widziałem taki Janowski ze Stronnictwa Demokratycznego, tylko że wszystkie te posiedzenia OKP-u to właśnie

dotyczyły przyjęcia strategii na posiedzenie Sejmu i dlatego też senatorzy tak jakby z pewnej oddali patrzyli na to i nie byli zaangażowani na bieżąco, bo to wszystko, czym posłowie się podniecali, to była tylko sprawa posłów.

Proszę jeszcze opowiedzieć o relacjach z rządem.

Relacje Senat-Sejm wpisują się w relację parlamentu z rządem, bo rząd utworzony przez Tadeusza Mazowieckiego jest kojarzony oficjalnie z tym nowym układem władzy, że to jest rząd niekomunistyczny, wspierany przez Obywatelski Klub Parlamentarny i wszystkie przybudówki. Niektórzy parlamentarzyści weszli do tego rządu. Między innymi pamiętam moją rozmowę z senatorem Krzysztofem Kozłowskim. Była wtedy sprawa weryfikacji funkcjonariuszy SB, kto może dalej pracować w nowych strukturach, a kto nie. I senator Kozłowski, był chyba wiceministrem wtedy spraw wewnętrznych, proponował, bym też był w takiej komisji w województwie olsztyńskim. No i ja delikatnie odmówiłem, powiedziałem: „Nie znam się na strukturach. Nie wiem, jakie tam są zwyczaje, jacy ludzie”. Te komisje parlamentarne właściwie służyły tylko jako organ doradczy, a i tak decydowali inni. No i tam proszono, żeby za dużo nie wycinać. No i ja się nie zgodziłem i nie byłem. Ale nie uważam, że źle postąpiłem, bo postąpiłem tak, jak uważałem wówczas.

Ale to, co najbardziej mnie w tych relacjach z rządem bulwersowało, to pierwsze wystąpienia pani minister kultury Izabeli Cywińskiej. Ona oficjalnie ogłaszała: „Mój program rozwoju kultury to jest brak programu rozwoju kultury”. Wspólnie potem z ministrem finansów uważała, że wszelkie fundacje to są jednostki parabudżetowe i należy je zlikwidować. Między innymi zlikwidowano Narodowy Fundusz Rozwoju Kultury, ale pieniądze z tego Funduszu przeszły na Fundację Kultury Polskiej utworzoną przez minister kultury. Więc też ona mówiła o janosikowych fundacjach, tymczasem skorzystała sama z takiej fundacji. No i to były sprawy, którymi byłem zainteresowany. Między innymi było takie spotkanie, w którym brał udział marszałek sejmu Mikołaj Kozakiewicz, prezes polskiego penklubu Artur Międzyrzecki, nawet on mówił, że ta kultura jest taka afrykańska, że tak się wszystko bez żadnej potrzeby rozchodzi. Zresztą były też głosi innych ludzi kultury, którzy uważali, że Ministerstwa Kultury ma nie być. Między innymi senator Andrzej Szczypiorski tak mówił, ale to był rodzaj reakcji. Ja się dziwiłem, że o kulturze, jako takim zespole norm i wartości w ogóle się nie chce dyskutować. Była taka dyskusja na Uniwersytecie Warszawskim, kompozytor Lutosławski mówił, że nie trzeba teraz niczego, bo ludzie kultury są znani. Ale to tylko ci znani z czasów PRL-u, bo tam kultura była jakimś zagrożeniem, a więc ci, którzy byli w pewnej opozycji do władz zostali jakby uniesieni do góry. Bo potem w kulturze trudno się przebić twórcom z czasów późniejszych, bo przecież w 1990 roku załamany był rynek książki, najpierw zaczęła się pornografia, takie książki, potem dopiero jakieś inne próbowano, ale nie stworzono żywego krwioobiegu kultury. Teraz jest książek dużo, ale zmienił się paradygmat kultury, to znaczy z dawnej galaktyki Gutenberga, jak mówiono na kulturę książki, kulturę słowa, przeszliśmy na kulturę obrazu. No, teraz wszystko będzie w komórce, prawda? I internet, i film, i wszystko. Już nawet raczej nie telewizja. I mi się zdaje, że gdy mówiono o tym, że kulturę trzeba chronić, to niektórzy posłowie i senatorowie uważali, że za czasów komunizmu się chroniło kulturę, a teraz to jest niepotrzebne, że teraz, co wartościowe, to się samo obroni. I było tak, że największe wzięcie w środkach przekazu miały słowa „niewidzialna ręka rynku”. Niewidzialna ręka rynku to znaczy, że to ma wartość tylko taką, jaką kupiec zaoferuje, a jeżeli kupca nie ma, to nie ma żadnej wartości. No, książka jest niepotrzebna, prawda, oprócz książeczki czekowej może Ale w zasadzie można powiedzieć, że życie jest niepotrzebne. I tutaj dochodzimy do tego, co kiedyś tam Fryderyk Hölderlin mówił: „Jak krótkie są nasze dni”. Wstajemy, zdumiewamy się i już wieczór. I żeby ten czas zdumiewania się był jak najdłuższy. Dopóki nas życie zdumiewa, czymś tam zaskakuje, to jesteśmy żywi. A tutaj uważa, że kultura jest

niepotrzebna. No, te zaniechania były. Informacja była w „Rzeczpospolitej” o posiedzeniu komisji kultury i mówiono akurat, że ja byłem w tej grupie realistycznej, uważającej, że samorządy na co innego poświęcą pieniądze niż na kulturę. No i tak jest, że stowarzyszenia twórcze powstały czy zostały odtworzone. Poczynając od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jak długo walczyliśmy, żeby tam jakiś na Foksal był z powrotem klub. Byłem wśród współzałożycieli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, to po różnych kątach się zbieraliśmy, komisja statutowa^ Nie było tej troski, bo mówią, że to jest właściwie ta niewidzialna ręka rynku. Co jest wartościowe, to od razu ludzie wiedzą. Nie wiedzą, bo teraz jest taki chaos informacyjny, że nawet ci, którzy się interesują, to muszą być wąskimi specjalistami, bo nie ogarnie się wszystkiego. To mnie zawsze martwiło i w tej kadencji Senatu sprawy kultury nie przebiły się, raczej nie było żadnych ustaw czy prób. Po Kongresie Kultury, przed stanem wojennym, miał przemawiać Gustaw Holoubek i on to przemówienie, które miał wtedy wygłosić, wygłosił pierwszego kwietnia 1989 roku na Niezależnym Forum Kultury. I jego rozpoznanie, że społeczeństwo z kulturą niewiele ma wspólnego, źle zostało przyjęte. Ja pamiętam, bo byłem na tym Kongresie Kultury, wtedy profesor Maria Janion mówiła: „U! Jakiś nowy paradygmat, jakiś romantyczny, jakieś tam wiersze tych robotników, jakie to wielkie jest”. No i tak nie było tam nic ciekawe, to miał wystąpienie wtedy Andrzej Kijowski, który mówił o tym, że jednak ci, którzy się buntują, którzy są za rewoltą, to nie zawsze dbają o kulturę czy będą dbać. No i to jest tak, że później te wszystkie jakieś takie spojrzenia mówią że: „Twórcy kultury dobrze mieli w czasach PRL-u, to teraz to się wyrówna, teraz się tym nie zajmujemy”. No i to była sprawa, która być może i w następnej kadencji. Ja nie mam żadnego porównania z następnymi kadencjami, tylko wiem, że ci, którzy kandydowali, którzy zajęli się polityką i są albo w sali sejmowej, albo w sali Senatu, oni mówią, że takiej kadencji, jak pierwsza to już nigdy nie było. Tam ludzie byli serdeczni, o różnych poglądach i potrafili z sobą rozmawiać, a teraz to tak umykają. Jak z jakiejś jednej partii, no to drugiej nie dostrzega, albo od razu takie zawodowe zapotrzebowanie na prawienie impertynencji. I rzeczywiście nie byłem rozczarowany. Ja to uważam tak, bo jako ewangelik to byłem taki szkolony religijnie, bo u krewnych mieszkalem i od 1951 roku miałem własną „Biblię” i tam były takie wersety, których trzeba było się nauczyć na pamięć przed konfirmacją. I to było między innym u apostoła Pawła: „Wszystkiego doświadczajcie, ale tego, co dobre się trzymajcie”. I mi się zdaje, że to ta potrzeba, żeby być we właściwym czasie, we właściwym miejscu, to właściwie ten Senat. Bo ja nie czułem się politykiem i nie czuję się zawiedziony, bo jest to rodzaj doświadczenia mojego. Ja tak rzadko omijałem ten gmach parlamentu, na 20-lecie nawet nie byłem. Później jesienią byłem, dzwonią i mówią: „Może się spotkamy jeszcze kiedyś”. No, chociaż wielu już senatorów już odeszło.

Czy znał Pan jakiś senatorów wcześniej?

Wcześniej nie znałem senatorów, bo senatorów nie było.

A te osoby, które zostały senatorami?

Ale znałem ludzi, znałem tych ludzi, którzy ze środowiskiem ludzi kultury i literatury byli związani.

Wspominał Pan Edmunda Osmańczyka.

Osmańczyka, Jana Józefa Lipskiego, posła wicemarszałka Aleksandra Małachowskiego.

Był dziennikarzem przez pewien czas.

Trochę tam widziałem Andrzeja Szczypiorskiego, który o Małachowskim mówi, że to dziennikarz nie pisarz. No, tak trochę uszczypliwości było^

A czy spotykali się Państwo na gruncie towarzyskim, przyjaźnili się między sobą?

No, tam mam znajomych takich pisarzy, no i niektórzy, no, mówię o tych posłach i o koledze z Senatu Antonim Jutrzence Trzebiatowskim, ale tam był także Bartłomiej Kołodziej, Tokarczuk, Tomaszewicz, Czapski. Towarzysko to znaczy, że to nie było aż jakaś tam przyjaźń, ale koleżeńsko, dosyć tak sympatycznie. Ludzie byli ciekawi siebie, bo nie znali się i w jakiś tam sposób pozwalali się poznawać. Choć rzadko jestem w Warszawie, to tam w kawiarni Czytelnika kiedyś to mnie pouczano, taki Krzysztof Karasek mi mówi: „O, tu jest taki stolik, tam siedzą tacy, tam Szymańska, tam Matuszewski dochodził, a tutaj Holoubek i Konwicki”. Tam gdzieś siedział osobno Henryk Bereza.

Pan pracował w dwóch komisjach, prawda?

Tak.

Jaka atmosfera panowała w tych komisjach?

No, w komisji kultury to bardzo dobra. Senator Andrzej Wajda był za szybką prywatyzacją wytwórni filmowych na początku. A po dwóch latach mówi: „Ale jeżeli prywatne wytwórnie, to wtedy nie będzie dbałości. Nie musi być dbałości o filmy artystyczne, tylko o kasowe”. No i to jest tak. A w komisji kultury było ciekawiej, bo to najpierw prowadziła senator Anna Radziwiłł. Tam miałem taką sprawę związaną ze szkołą podstawową koło Działdowa imienia Karola Małka, taki działacz mazurski, nagle sobie przypomniano, że przed wojną może była imienia Piłsudskiego. No i tego Małka chciano usunąć i to czynił ten człowiek, którego Małek w pamiętnikach opisał. Pamiętniki w Czytelniku były wydane, jak to po wojnie zabierał sprzęty i urządzenia gospodarcze po tych Mazurach, których wskazywał dla NKWD, a tamci zabierali na odsnieżanie Kamczatki. Wtedy się zaangażowała tam pani Radziwiłł, tam z Ministerstwa Edukacji jeszcze jakaś pani. Także to uspokajano na tyle, że spokojnie zachował się dalej, ale imię tej szkoły zostało zachowane.

A druga komisja?

A druga to właśnie ta polonii. No, to tam były działania takie, że marszałek Stelmachowski miał swoją wizję przekształcenia towarzystwa Polonia, a to mówiłem, że to trochę agenturalne było, prawda. No i z jednej strony to była próba przekształceń, której dokonywał Stelmachowski. Z drugiej strony były spotkania z Polakami z Ukrainy, Białorusi, Wileńszczyzny, Łotwy, Estonii. Była nawet grupa kobiet, Polek z Kazachstanu, i jedna mówiła tak: „*U nas Poliaków mnogo, nu jazek my zabył*”. No i takie były pierwsze próby otwarcia, bo z Senatu jechałem z posłami, między innymi taki poseł Brown, później był w Radiokomitecie, byliśmy obserwatorami wyborów w Estonii, Estonia wybierała niepodległość. To było w marcu 1991 czy 1990 roku. I wtedy ktoś z Senatu, chyba pracownik komisji kultury, przekazał mi kserokopiarke i ja ją przekazałem Polakom z Łotwy w Rydze, bo po drodze było Wilno, Ryga. I to takie kontakty były, chociaż stowarzyszenia to miały różnych działaczy. Niektórzy działacze to byli bardziej komunistyczni niż polscy. Tak między innymi było na Wileńszczyźnie na początku. Tak samo jacyś wojskowi stowarzyszenia mieli na Białorusi. No to potem się wszystko zaczęło zmieniać, ale te początki były trudne. Po świętach Bożego Narodzenia w 1989 roku było takie spotkanie posłów i senatorów z działaczami Sajudisu. Niektórzy się znali, dla innych to był początek, obmacywanie takich spraw, które potem może się rozrastały. Tam potem zmieniały się osoby. Polityka to sprawa płynności nowych ludzi czy przesuwania. No i ta komisja kultury to byli sympatyczni ludzie, bo to później prowadził profesor Findeisen. Tylko tam efekty były takie niewielkie. Komisja Polonii, Polaków zagranicą to była może przez to ciekawa, że ona sprawiła, że poznawałem też ludzi i z Wileńszczyzny, bo tam byłem, i później z Łotwy, no a najlepsze były stosunki między rządem i między Polakami mieszkającymi i Łotyszami. No w Estonii to był problem

zasiedziały rodzin żołnierzy, by w wyborach mogli uczestniczyć tylko ci, którzy znają język estoński.

A pamięta Pan same obrady?

No, sala obrad to było tak, że gdy po sali kolumnowej przeszliśmy do nowej siedziby, zjawił się kapelan „Solidarności” i wyświęcił. I podszedł do mnie podczas przerwy senator Tadeusz Zieliński i powiedział: „Czy to nie jest zbyt szybko? Przecież mogliby być też duchowni innych wyznań, bo to by wtedy wyglądało inaczej”. No, ja mówię: „No, mogłoby tak być, ale po co robić jakieś zamieszanie”. Choć to, że on to dostrzegł, to świadczyło o tym, że jest takie poczucie wśród ludzi. Zieliński to raczej takie miał podejście solidarnościowe.

Ale on sam, o ile sobie dobrze przypominam, działał w Komitecie Prymasowskim.

Tak, tak, ale on jako prawnik od prawa pracy. Z tym, że działacz Stelmachowski działał, prawda? To też. Ale byli bardziej związani z Kościołem i byli ci, których stać było na własne zdanie. I ja uważam, że dochodzenie do jakiegoś własnego zdania to jest takim procesem, czasem niedostrzegalnym. Dla mnie każda osoba jest ciekawa. Kiedyś rozmawiałem, to było we Wrocławiu, tydzień kultury chrześcijańskiej, tam Marek Nowakowski opowiadał mi o tym, jak go zatrzymywali, żeby nie dojechał na spotkania. No i na przesłuchanie go ciągnęli, a tak ten funkcjonariusz mówi: „A czemu tak pan mi się przygląda?”. „Bo chcę pana opisać”. Bo ja pytałem, czemu jest taki niecierpliwy, że od razu chce wydać to, co pisze. Bo Nowakowski taki jest. No on mówi, że daje mu to jakiś taki napęd, do następnego pisania.

Jakie jeszcze osobowości dostrzegal Pan wśród senatorów?

Ja wszystkich uważałem _

Proszę wymienić.

Trudno by było nie wymienić Alicji Grześkowiak, no też osoba ciekawa, Edward Wende był ciekawy, Karol Modzelewski, Romaszewski, który miał takie swoje zdanie zawsze^ Senator Stomma parę razy zapraszał mnie na kawę i tak opowiadał o tym, jak to posłowie koła poselskiego Znak w PRL-u tam działali, jakie im wygłupy robił Kisiel. No i Andrzej Celiński też, który tak patrzył z boku. Z początku sympatycznie się z nimi rozmawiało. Później nie rozmawiałem, ale nie byłem już tam, nie goniłem za władzą ani władza mnie nie interesowała. Tylko jego takie wystąpienia to później już przyjmowałem tak mniej ciekawie.

A może kogoś z pracowników Senatu Pan pamięta?

Pracowników niewielu było. Pietrzak był senatorem, to potem on został szefem biura chyba jakiś czas później. Pamiętam, że podejmowaliśmy jakąś uchwałę i on przyniósł tekst. Ja zobaczyłem, że Piłsudski jest źle napisane i do niego mówię: „Chyba tu jakaś pomyłka”. Dobrze, że tak po cichu. Tam z pracowników to ja tylko tego Staszka Kozioła właściwie tak pamiętam.

A czy pamięta Pan jakieś anegdoty, żarty, które krążyły w kuluarach Senatu? Jak wyglądało to życie kularowe?

Ano wyglądało dobrze. Podczas przerwy w obradach były kulary ożywione. No i potem, gdy się towarzysko spotykali na kawce, to tam niektórzy knuli, inni spiskowali, inni coś tam omawiali, choć ja to nie pamiętam, ale Antoni Jutrzenka Trzebiatowski już coś przez telefon mówił, że gdzieś tam z nim i jeszcze z kimś siedzieliśmy w restauracji, a tam gdzie się zbierali z PZPR-u posłowie i Wujec niby odganiał nas, że niby za blisko siedzimy. Ale nie wiem, czy tak było, to mógł zmyślić, bo ja na to nie zwracałem uwagi. Jak już wspominałem, anegdot było sporo, lubiłem słuchać, ale żadnej nie pamiętam.

A jakie miał Pan oczekiwania, kiedy wchodził Pan do Senatu?

Miałem takie oczekiwanie, że będę uczestniczył w historii.

A bez obaw Pan wchodził?

Ja nie miałem takich obaw jak rodzina była za tym żebym kandydował to potem jak była kampania to żona rano mnie wypychała, a przez północą wracałem do domu.

A nie obawiał się Pan tego, że komuna wróci? Że potem to może grozić czymś?

Nie było jasne, czy komuna nie wróci, no, tak, ale tego się nie obawiałem, nie. Dla mnie 4 czerwca jest ważny nie dlatego, jak to po miesiącach powiedziała Szczepkowska, nie? Że tego dnia upadła komuna, tylko dlatego, że ci głosujący, ci którzy poszli do wyborów, odrzucili komunę. A co potem robili ci z „Solidarności” to już jest druga sprawa.

Czym się Pan zajmował po zakończeniu kadencji Senatu?

Zajmowałem się tym, czym i wcześniej to znaczy myślałem, czytałem, coś tam próbowałem pisać, chociaż możliwości wydawania były coraz mniejsze. Jak wspominałem, zrezygnowałem z pracy dziennikarskiej, tej stałej, w marcu 1980 roku i potem nie miałem propozycji pracy, to wiedziałem, że to ze względów politycznych. Po 1990 roku, jak zrezygnowałem z kandydowania, namawiali mnie, to potem okazało się, że znalazłem się w innej rzeczywistości i też nie miałem żadnej propozycji i tylko płaciłem składki emerytalne dla twórców i rodzin, uposażenie emerytalne dla twórców i ich rodzin. Były z początku mniejsze, bo były kwartalne, potem już coraz większe, a potem takie, jak dla rzemieślników. No i dzięki temu, że rodzina uznała, że nie wzbogacimy się tak, ale jakoś będziemy żyć, no to na te składki były pieniądze i tak do emerytury doszedłem. I okazało się, że na stare lata jestem gadułą, bo człowiek w życiu ma do powiedzenia kilka milionów słów, a ja byłem milczkiem w młodości, w średnich latach, no, to na starość trzeba te słowa wypowiedzieć.

Czy bycie senatorem zmieniło coś w Pana życiu?

Zmieniło to, że później, choć było dość kiepsko, to trzeba było udawać, że wszystko jest w porządku, bo tak jeszcze niektórzy mówią: „Panie senatorze, ale ja to jestem przeciwko temu, bo ja uważam, że człowiek jest takim człowiekiem jak inni. No każdy człowiek jest innym światem i inną ma wrażliwość”. Ja uznałem, że być uczciwym człowiekiem to jest takie dobre działanie i taka jest potrzeba. No, ja sam się dziwię, że tutaj w domu czasem mówią, że jestem, bo mówię wszystko, co naprawdę było, jak było.

Mówił Pan, że wejście do Senatu to była sprawa jednorazowa. Nie miał potem nigdy Pan ochoty być politykiem?

Nie, nie miałem. Ale interesuję się polityką, patrzę na ten świat post-polityczny, bo teraz nie wiadomo, czy tam partie się różnią czy tylko towarzysko się różnią i grupy wpływów się różnią. No i początki były jakieś ciekawsze przez to. Bo nawet myślę sobie, to już tak na marginesie, jak był taki moment przez pół godziny w radiu, że Lech Wałęsa się przyznał, że coś podpisywał, to by mu wybaczone, gdyby[^] Bo to mówiono „robotnik”, tak mogło być, tak i wtedy by był wywikłany, nie byłby uwikłany i sytuacja by trochę inaczej wyglądała, tak myślę. Bo zachowania ludzi potem stają się irracjonalne i one szkodzą nie tylko im samym, ale także innym ludziom. I dlatego uważam, że należałoby, że nie jak Okudźawa śpiewa, żeby władza im poszła w smak, nie? Ale to dla tych pragnących władzy, nie? Ale trzeba uważać, żeby do władzy nie szli tylko ci, którzy widzą, że swoje sprawy mogą załatwić. No, ja trochę naiwny byłem. A mówią: „A co pan nam załatwi?”. A ja mówię: „Idę tam, żeby nikt nikomu

nic nie załatwiał, bo mają być takie ustawy". No, ale to jest takie naiwne marzenie, że ustawy, bo wtedy ludzie nie uwierzą albo powiedzą, że coś knują.

A jakie znaczenie, Pana zdaniem, miało przywrócenie Senatu w 1989 roku?

No, z początku to miało takie znaczenie, że władza, mówi się, chciała się wykpić, bo to w ostatniej chwili na Senat się zgodzono. Potem był taki sekretarz Czarzasty, który mówił, że trzeba pomóc „Solidarności”, bo tam nikt nie wejdzie do Sejmu i Senatu. No i dopiero gdzieś w okolicach 15-20 maja to już wtedy była ta sprawa widoczna, że ci z „Solidarności” mogą wejść. W dodatku nie wiem, od kiedy był ten program Jacka Fedorowicza i on mówi, kogo by tam wykreślać, jak tam głosować. „Solidarność” miała program^ No i to jest tak, że to proces ewolucyjny, bo jest bardzo długi i nie zawsze jest dostatecznie widoczny. Bo zmiany, jeżeli mają być dogłębne, to wtedy musi być przerażenie społeczeństwa, takie jak podczas zmian na Węgrzech, jak po rewolucji węgierskiej, jak krew się połała. Tak jeżeli bezkrwawo, to zawsze jest podejrzenie, że jakieś musiały być i jeszcze są jakieś nieotwarta szafa Lesiaka czy innych tam.

A jak ocenia Pan tę pierwszą kadencję Senatu w porównaniu z następnymi?

No, ja w porównaniu z następnymi nie mogę oceniać, dlatego, że o następnych niewiele wiem i niewiele rozmawiałem. Ale ci, którzy byli i w pierwszej, i w następnej kadencji, mówili, że takiej kadencji jak pierwsza to już potem nie było - takiej uprzejmości, koleżeńskości, no, radości z tego, że ludzie z różnych stron mogą porozmawiać i nie bać się, że to jest wykorzystane przeciwko nim. I mało tego, pracownicy Senatu mówią, że ten pierwszy Senat to był bardzo dobry, bo o następnych nawet ten mój znajomy, którego wspominałem, Staszek Kozieł, też mówi, że ludzie unikają się, już nie byli tacy jak wcześniej. Bo w pierwszym Senacie, to było tak, że byli ludzie o różnych poglądach, różnym stosunku do Kościoła, ktoś tam był bliżej socjalistów, ktoś inny był bliżej chadecji. Łączyło ich to, że byli z tej samej strony solidarnościowej i to było ważniejsze. A w następnych kadencjach ujawniały się te różnice, które tworzyły się wtedy i wcześniej tworzyły się jakieś tam partie, ale one konsumowały to, co było w następnych kadencjach.

A czy było coś ciekawego, poruszającego, o czym chciałby Pan jeszcze powiedzieć, w tej pierwszej kadencji Senatu?

A może sobie przypomnę.

Coś z historii. Coś, co było ważne, ciekawe, poruszające.

To nie wiem, bo ciekawość to się ujawnia się później

To co dla Pana jest ciekawe.

Parę zdań o Senacie, między innymi o prof. Zielińskim jako rzeczniku praw obywatelskich, o senatorze Holoubku w związku z jego śmiercią, bo jakieś tam ciągi skojarzeń. Tak samo rodzajem doświadczenia mogą być inne zdarzenia z Senatu, one się nawet w mojej pamięci mogą się ujawnić dopiero później, to cały czas nie żyję sprawami Senatu, bo gdybym żył, to bym ogłupiał. Uważam, że byłem w stosownym momencie, w odpowiednim czasie tam, gdzie dobrze było być. I nie żałuję tego, że nie kandydowałem później. Acha! Bo jest jedna sprawa ważna. Już rok trwał Senat i wieczorem przy kolacji usiadłem razem z Józefem Lipskim, Aleksandrem Małachowskim i coś tram zaczęli mówić o sprawach jakiejś pracy. Ja mówię, że ja tylko mam dietę, kraj jest taki biedny, a on mówi: „Jak to? To pan tak zgłupiał? Przecież trzeba szybko napisać podanie o to, że jako parlamentarzysta zawodowy”. To znaczy, że ja naprawdę wierzyłem w to, że kraj jest biedny i trzeba postępować tak, żeby nie uszczuplać, żeby nie pomnażać tej biedy. Ale to właściwie jest takie spostrzeżenie po latach moje i już nie

zawsze o tym pamiętam, ale ono świadczy o tym, jakie było moje podejście do pracy w Senacie. No i potem napisałem, chociaż wtedy były to pieniądze bardzo niewielkie, już szły tam tysiące. Ale dopiero te miliony nastąpiły, nie? To już był taki czas, ja nie wiem, bo młodzież to już nie pamięta, młodzież nie pamięta.

I ja byłam milionerką.

Tak?

Tak, miałam chyba 7 milionów pensji. Jako stażystka.

Ja tak później sprawdzałem, bo lat pracy mi wyszło 47 od szkoły, a to jeszcze Józef Hen mnie pouczał, żeby wziąć jakieś pisemko, że wtedy jakiś debiut literacki, że od tego czasu się coś liczy czyli od 9. klasy. No i wtedy patrzyłem, że te ceny wzrastały, ale nie były takie duże i ludzie powstrzymywali apetyty. Była nawet taka sprawa, bo ja przez rok byłem w Warszawie, takie pismo było, ono się prawie nie ujawniło, miesięcznik krytyczny „Meritum”, Andrzej Mencwel był naczelnym, i się ukazały dwa numery. Jeden to był opis strajków sierpniowych, a drugi, co zostało z uczty bogów Igora Newerlego, a w trzecim to miały być moje teksty i innych jakiś tam. I naczelnny pokazywał mi w sobotę 12 grudnia, że już miał, tylko bez okładek. No i to pismo zlikwidowano. Było pismo, „Wydawnictwo współczesne”, to było też przy Czytelniku. „Wydawnictwo współczesne”, 8 marca tytuł zlikwidowali, a 16 na weryfikację dziennikarzy zatrudnionych. Ja byłem 16 marca, ale nie poszedłem, tylko napisałem pismo, że już za stary jestem, żebym poddawał się weryfikacji i że w takim państwie tego socjalizmu policyjnego ja nie chcę mieć do czynienia. No i po stanie wojennym, gdy były informacje, że mecenas Dubois przyjmuje wnioski tych, których tam wyrzucono z pracy, czy tam zlikwidowano jakieś pismo. Ale ja już nie myślałem o tym, żeby do pisma tego rodzaju wracać, no, to ja zostawiłem w spokoju to.

To był „Głos olsztyński”, tak?

Nie, to było „Meritum”, to było w Warszawie.

Ale przy tej weryfikacji.

A nie, to tam było, bo ja byłem tam na etacie.

Tutaj, że zwolnił się Pan z pracy w „Gazecie olsztyńskiej”.

Tak, tak. Andrzej Mencwel był z tej grupy komandosów kiedyś. Tylko później, jak aresztowali, to on napisał coś o Andrzejewskim, analizę jakąś. I sobie przypominam, jak był stan wojenny, byłem u Michała Jagiełły chyba i zaczęli tamto z 1968 roku cytować tu w 1982. I tam jakieś protesty były. A wtedy, jak weryfikacja była, to tygodnik „Mazowsze” tam się ukazywał i było tam kilka uwag uszczypliwych wobec Andrzeja Mencwela i podpisał Zagorza.

Później byłem w zarządzie Pen klubu, byłem jednym z wice prezesów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Bo to było to wtedy po Andrzeju Brownie, a tu zastępca Julia Hartwig, byliśmy wtedy w zarządzie. Tylko to było tak, że człowiek wyjeżdżał. Tam szanowano, a przyjeżdżał tu i nie miał za co żyć. Tym bardziej, że pisma zaczęto likwidować, prawda? Bo to było wiele pism różnych. Później przekształcenia. Przekształcenia w Olsztynie to fatalnie było. Likwidacja Prasa Książka Ruch, jeden niby z naszych prawników tam się tym zajmował, ale miał swoje potrzeby, swoje działania jakieś takie. Ale nie narzekam, bo to traktuje jako doświadczenie pewne. W 1988 roku był strajk w Nowej Hucie w kwietniu i był taki dziennikarz z Olsztyna, który opisywał ten strajk i on zapomniał, że otrzymał delegację z „Tygodnika kulturalnego”, bo zamieścił w „Polityce” i potem się zdziwił, że „Tygodnik kulturalny” wyrzucił go. No i przyszedł do mnie, chociaż teraz to się nie przyznaje, ale do

mnie przyszedł i ja go zaprowadziłem do katolickiego pisma „Posłaniec warmiński” i tam go przyjęli. A po latach on zapomniał, bo tego pisma już nie ma, zapomniał, że to było pismo katolickie, a on myślał, że taki rozrabiaka był.

Dziękujemy bardzo.

Dziękuję bardzo.